

L. Zarzyńska

R O Z M O W A

której nie było....

/ Spisane w 1937 r. /

Nie, nie miałam pojęcia, że to ^(rozmowa 1928) ~~rozmowa~~ ^{o matce} będzie nasza ostatnia w życiu rozmowa, ani że Jemu grozić może cokolwiek, oprócz choroby, albo zamachu na życie. Jak dalece innemi, okólnemi drogami szkodzić może zła wola ludzka - w jaki ciężar, nie do udźwignienia, sumuje się czasem bierność, czy ułomność nawet tych "najwierniejszych".... o tem mi się wówczas ani śniło.

Wierząc w Jego "gwiazdę" niezwyciężoną, oczekiwałam coraz nowych tryumfów - dziękując Bogu w podziwie nabożnym za tę dolę nietylko największą, lecz i najszczęśliwszą pod polskiem słońcem. Zdawało się, że zwycięstwo 1926 r. jest czemś bezwzględnie osiągniętem, niecofnionem - że On musi poprowadzić teraz naród do zjednoczenia w szczęściu i potędze.... bo gdzieżby indziej ?!

Dzieliłam w pełni upajającą, coraz powszechniejszą psychozę : przeceniania, ~~na~~ przebóstwiania niemal Jego sił i władzy. Wszakże dotąd zawsze spełniał o wiele więcej jeszcze niżesmy śmieli się spodziewać !

Z końcem zimy 1928 r. spostrzegłam po raz pierwszy, że nie wszystko dzieje się dobrze. "Nadzwyczajna Komisja do walki z nadużyciami" uwięziła, pod ciężkim zarzutem, człowieka całkiem niewinnego, nawet zasłużonego : Włodzimierza Kozubskiego. Dręczono go moralnie i fizycznie, doradzano perfidnie samobójstwo, robiono wszystko możliwe, aby go zgubić - choć brakło pozorów nawet faktycznej winy / sprawa ksiąg Banku Budowlanego / Działo się to najoczywściej kwoli interesom jakiejś ciemnej mafji, chroniącej się w cień najwyższego w Polsce autorytetu.

Daremnie błagałam Sławka o moment rozmowy : w pośpiechu wiecznego zapracowania, wyrwał mi się i uciekł, odsyłając do swych podwładnych, których osobiście nie znałam wcale. Podobnego lekceważenia rzeczy doznawałam wszędzie - jedna Ola Piłsudska wzięła ją na serjo, gdy jej się rozsłochałam nagle w w Belwederze... mimowoli, bo nie miałam zamiaru wciągać jej w to bagno.

- Pomyśl, pomyśl ! - wołałam wśród łez - że to w Jego imię niejako robią komuś tak potworną krzywdę, zostawiając swobodę działania człowiekowi zboczonemu, /

nienormalnemu / Mecenias Paschalski, znający oddawna Dębskiego, kierownika tej Komisji, nazwał go zdecydowanym sadystą - podobne skłonności objawiał w śledztwie sędziego Godecki /.

Krzywdę naprawiono w kilka tygodni później, podobno za cichym przyczynieniem się Oli : Komisję rozwiązano, Dębskiego odsunięto, Kozubski został oczywiście uwolniony i rehabilitowany zupełnie. Ale już pozostał w mej duszy ciemny cień na cudowności zwycięstwa - pozostała dręcząca podejrzliwość i sceptycyzm. Jeżeli Sławek nie użył mi ucha w chwili tak ważnej, to może nie słucha wogóle dobrych rad i szczer^zych, bezstronnych informacji ? Jeżeli się t a k pomylili wykonawcy woli Komendanta, to gotowi mylić się także w innych wypadkach, donioślejszych jeszcze z !.....

Poczęły mnie dochodzić głosy, potęgujące się z czasem, głosy niezadowolenia i niepokoju tych właśnie "naszych ludzi" którym ufałam najbardziej... tych którym nie szło o siebie. Podłemi intrygami, bezecnymi nadużyciami wygryziono z prezesury Związku Strzeleckiego Antoniego Anusza, pracownika nieskazitelnego, który objął to stanowisko na wyraźne życzenie Komendanta. Odwołał się teraz do Niego piśmiennie, z całą szczerością przedstawiając stan rzeczy, lecz... na to pismo nie otrzymał wogóle odpowiedzi ! Dlaczego ?! nie mogliśmy tego pojąć, śmialiśmy sobie daremnie głowy i serca. Ta opieka potężna i dobrotliwa, która nie zawiódła nas nigdy dotąd - teraz zawodziła !...
Jenocześnie mówiło, że Komendant jest zdrow, w pełni sił i energii. Był to okres wygłaszania przez Niego, względnie publikowania w prasie, przemówień i enuncjacji politycznych, które stawały się dla nas nowym powodem bolesnego zdumienia. Biła z tych wypowiedzi taka gorzka straszliwa, potępiona i nieufność do społeczeństwa, jakiej nigdy nie okazywał do tej pory ! Poza to, niewiadomo było, gdzie czy podziąć, kiedy przeciwnicy obliczali, ze złościwą uciechą, ile też razy powtarza się w ^{akimś} jednym i tym samym artykule jeden i ten sam wyraz nieprzyzwoity, ordynarny.... a bywało, że doliczali się 20-u i x i powyżej nawet !!

Wówczas to, jesienią 1930 roku - stało mi się oczywistym, że On poczyna się

wewnętrznie zmieniać, że jakaś ciemna, tajemnicza siła wciska się pomiędzy Nægo a Naród - jakgdyby chmura zachodziła z wolna na słońce i robiło się coraz mroczniej.... Czuję, jakby w samej sobie, że On cierpi straszliwie, ugodzony niewidzialnym ciosem w rdzeń istoty i w posłannictwo swoje i

Oddawna już codziennie starałam się dopomagać Mu myślowo. Kiedyś (chyba w r. 1927.) mówiłam o tem Oli, co ją bardzo wzruszyło - rzekła mi wówczas, że On sobie taką współpracę zawsze ceni i wierzy w nią. Otoż teraz podwoiłam swe wysiłki, modliłam się tak wiele i gorąco, jak nigdy dotąd w życiu. Ten człowiek tyle, tyle mi dał, wydobył ze mnie i rozwinął to, co najgłębsze, najlepsze... Jakże to możliwe, abym ja nie zdołała pomóc w ciężkiej godzinie, w obliczu jakichś utajonych gróźb? Pragnęłam tego ponad życie, ponad wszystko osobiste - szturmowałam o to do nieba, gotowa zapłacić za taki cud wszelką cenę! Tą drogą uzyskałam wewnętrzną pewność, że muszę z Nim mówić, aby Mu uświadomić niebezpieczeństwo - chociażby nigdy już potem nie chciał mnie widzieć... Uzyskałam pewność że się nie mylę - i odwagę niesłychaną stanąć do Mu do oczu z prawdą moją. Sama tego rozumem objąć nie potrafiłam... a jednak wkrótce nie miałam już wątpliwości, wahanie wszelkie znikło.

Boga wzywałam na świadka, że nie było w tem żadnej "mizocji własnej", przeceniania siebie, czy ambicji osobistej. Decyzję moją poprzedziły liczne rozmowy z osobami myślącymi podobnie, nasuwane im sugestje takiego wystąpienia - zawsze daremne. wszem, próbowali niektórzy coś napomykać, ale żak blado i niepewnie, że zbijało ich z tropu jedno spojrzenie... to też najśmielsi zarzekali się, że już nigdy nie zabiorą głosu, a i mnie potrafili tylko odrażać.

Ja natomiast wiedziałam dobrze na co się ważę, nie licząc wcale na łatwe powodzenie. Wierzyłam, że sam Pan Wszechmogący miał działać przezemnie, ocalić najukochańszego z ludzi, może wbrew Niemu samemu., przezemnie chyba, skoro nikt inny nie chce i nie może? Ja tylko dawałam się za narzędzie, ufnie i ochotnie. Cudne było to poczucie, ta gotowość - cały ten okres szalonego napięcia duchowego, przeżywany samotnie, gdyż nie czułam się w prawie mówić o tem komukolwiek (któżby pojął zresztą?) Trzeba było tak, aby móc Mu powiedzieć:

- Nikt o tem nie wie, nikt nie dowie się nigdy: ty jeno, Twój Bóg i ja po-

między wami, jak maleńkie jakieś kołko transmisyjne, potrzebne chwilowo,,. potem można je odrzucić, połamać, nie myśleć o niem więcej. Komendancie mój, Komendancie ! taka miłość jak moja, od rodzicielskiej nawet większa, głębsza - nie może się mylić. Ja czuję, ja widzę, jak idzie na Ciebie jakaś ciemna, groźna fala - jak poczyna mścić się Zło za cud zmartwychwstania, za wszystkie cuda, które Ci dane było działać... O nie nigdy nie prosiłam dla siebie, to jedno mi uczyn : wysłuchaj do końca, nie wypędzaj, zanim wypowiem wszystko !!

Istnieje jakiś związek tajemny między Tobą, wielkim Duchem Przewodni a tymi co się grupują wokół Ciebie, jako plejada "duchów pomocnych" - są różne tego związku stopnie. Ja Ci byłam przeznaczona na pomocnika dużo dawniej, nim Cię ujrzałam - a pomoc ta nie polegała nigdy na ślepiem jeno wypełnianiu rozka-
zów.

Opisując niedawno okres demonstracji na Placu Grzybowski, próbowałam wyrazić zgrozę i rozpacz, jakie miotają Tobą na widok tępego, niewolniczego stosunku Polaków do mobilizacji rosyjskiej na wojnę z Japonią. Drżałam, czytając : wszak to moje własne rodzone myśli i uczucia, przeżywane samotnie - pamiętam, jednego zwłaszcza wieczoru, na klęczkach przed łóżkiem, z zasłoniętą dłonią twarzą. "Boże, Boże, ulituj się ! - powtarzałam - śmierć nam daj raczej wszystkim, niż taką hańbę !" (brakowało słów, zasychało w gardle, śmiko się przed oczyma...) Miałam wtedy lat 15, nie należałam jeszcze do żadnej organizacji - pozornie całkiem odosobniona, obcowałam jednak - dziś widzę dopiero - z Twoim duchem, szukającym pomocu swych żołnierzy, wśród głębokiej, nieprzejrzanej "nocy narodowej" ! I później, gdy mnie już nakarmiono całą mądrością "organicznej" polityki, zsyłałeś mi nocami sny o wojnie... tak plastyczne, tak żywe, że znowu przyzywałam śmierci, budząc się do powszedniego dnia niewoli. Nic mi nie wydrze myśli, przekonania, że to było z Ciebie, że to nas łączy na wieki i daleko poza grob. Dlatego poznałam Ciebie odrazu, przy pierwszym moim raporcie - jako tego, którego Bóg posłał. To są rzeczy trudne do wyrażenia,,. ale ty wiesz przecie sam ! Do tej w i e d z y poza rozumem odwołuję się dzisiaj - w niej szukam otuchy, że nie zlekceważysz mego "irracjonalnego" lęku o Ciebie i twoje dzieło. -- Co się poczyna źle dzieć w "naszym obozie" - to nie są tylko

zwyczajne ludzkie niedociągnięcia : to objaw groźby jakiejś, która nachodzi na Polskę, rzucając daleko naprzód cien swój ponury. (Tu miały nastąpić przykłady - dwa do trzech - dobitne, charakterystyczne, poparte dowodami i świadkami. Wahałam się jednak, czy przytoczyć je odrazu, czy, zaznaczywszy tylko istnienie tych dowodów, wyczekać raczej, aż Komendant sam zapyta o nie ?) Ta groźba godzi w Ciebie przede wszystkim, to widzę całkiem wyraźnie. Duchem ją tylko zwalczyć można, ale jak, tego nie wiem. Wierzę, że Ty znajdziesz sposób, że się obronisz i zwyciężysz. Moje zadanie jest : o s t r z e c , choćby za najwyższą cenę - całą siebie niejako dać w zastaw za jakieś zaostrenie czujności Twojej ! Przy całym poczuciu dysproporcji pomiędzy nami - pomyśl, Komendancie, ile trzeba było odwagi, aby stanąć przed Tobą na świadectwo prawdzie... Może pomyślisz : "Warjotka!" - może w milczeniu zimnem wskażesz mi drzwi - może śpią prunujesz oczami ?... Ale wolę nawet to, wolę nie zobaczyć Cię już nigdy w życiu, niż tego nie wypowiedzieć i dalej żyć z tem zadaniem niewykonanem, jakby z piętnem dezercji wewnętrznej. Nie posądzaj mnie, błagam, ani przez chwilę, o jakąś śmieszoną megalomanję, jakieś zrównywanie w myśli sobie z Tobą... Ja tylko wierzę mocno, że Duch Święty, Trzecia Osoba Boskiej Trójcy - i wielki Duch Narodu - mówić mogą w jakimś ważnym momencie przez usta prostaczka, dziecka, kogokolwiek - kto k o c h a dość silnie, dosyć bezinteresownie, aby ofiarować się za n a r z ę d z i e , bez względu na wszelkie konsekwencje osobiste. Do tego jedynie zaszczytu pretenduję, gotowa okupić go - nawet Twoim gniewem, gorszym dla mnie od śmierci."

Nie wyobrażałam sobie, co dalej nastąpi - ale czułam w sobie tyle siły moralnej, taką powagę, iż nie wątpiłam, że do tego punktu zostanę wysłuchana. Reszta już nie do mnie należała. Przeżywałam tę scenę w myśli po wielekroć, z jasnością niezapomnianą. Chwilami wydawało mi się, że potem pozostanie już tylko - umrzeć... To był chyba sam szczyt życia, wypełnienie decyzji najśmielszej. Upajało mnie to, całkiem podobnie, jak niegdyś nadzieja, że bostanę rozstrzelana, a nie powieszona, kiedy podjęłam się na ochotnika przewozić dynamit przez ufortyfikowaną linię bojową. Świadczy o tem wiersz (z r. 1932/3²), pachnący porywem i woj-

Niech mi będzie ten ogień święty pochwalony,
 Płomień ów, którym jasno, wysoko się palę -
 Samą siebie gdy wolno mi rzucić na szalę
 I znów zamknąć w swej piersi nieznaną miljon...

Wtedy cuda się dzieją w genezyjskim szale !
 Jakieś okno, otwarte na mój kraj rodzony,
 Ukazuje szmat dali, ścieżki i zagony....
 Gdybym mogła raz z tamąd nie powrócić wcale !!

Nie wątpiłam wcale w wykonalność mego zamierzenia, znając przychylny stosunek Komendanta do mojej osoby i mając kilka dróg do wyboru, aby zwrócić się do Njego.

Wykluczałam tylko jedną : Olę. Mało było prawdopodobne, aby ona, tak żywiołowo zazdrosna o dostęp do Męża, zechciała go ułatwiać komukolwiek, nie wiedząc o co idzie, a już tem mniej... kobiecie. Poza tem istniały poważne obawy, że teraz jej wstawnictwo mogłoby raczej zaszkodzić. Wydawało mi się najprostszym skorzystać z tego, że bliska mi serdecznie osoba, Wanda Gertzówna ("Kazik") była urzędniczką w belwederze, a nawet pełniła do niedawna właściwe funkcje osobistej sekretarki, o wiele poufniejsze niż Iżłakowiczówna - lubiono ją tam i poważano, ceniąc także że jej szczególną dyskrecję, która w tym wypadku była i dla mnie bardzo ważna.

Napisałam zarsz (późną jesienią 1929 r.) aby w stosownej jakiejś chwili, bez świadków, przedłożyła Komendantowi moją usilną prośbę o jedną godzinę rozmowy.

O czem pragnę mówić, nie objaśniałam, zaznaczając tylko, że jest to sprawa niezmiernie poważna. "Kazik" znał mnie zresztą zbyt dobrze, aby przypuszczać, że mogłabym niepokoić Komendanta dla byle czego.

Po 2 tygodniach nadeszła odpowiedź, takiej treści mniej więcej : "Spróbuję, ale czasu nie mogę oznaczyć. O okazję dosyć trudno teraz, ale się postaram."

Czekałam cierpliwie, zbrojąc się i utwierdzając wewnątrz w poczuciu swego prawa i wielkiej nadziei... Przy wrodzonej impulsywności, zużywałam wiele sił aby się utrzymywać w jednostajnym napięciu, na tym samym wciąż wysokim poziomie duchowym - bo przecie wezwanie mogło przyjść lada dzień, a nie śmiało zastać mnie bezsilną, rozproszoną czy wahającą ! Pod powierzchnią zainteresowań codziennych, żył we mnie ogromny spokój i skupienie bezsenne, przemożne, którego ciągłości dziwiłam się nieraz sama... Był to jeden z najpodnioslejszych okresów mego życia - apodniosłości jego nie zasilalo nic z zewnątrz.

Mijała zima... Przypominałam Kazikowi obietnicę kilkakrotnie - bez skutku. Ja-

6

Jakieś podobno piętrzyły się przeszkody nieprzewidziane, dostęp stawał się coraz trudniejszy - miałam wrażenie, że Kazikowi brak jakoś odwagi na wyraźne mej prośby...nie zastanawia^am się zresztą, jakie to czynniki mrozą jej te słowa -tak proste - na ustach ? Zaczynałam pojmować, że ta droga do celu nie zaprowadzi - trzeba było szukać znów innej, powoli i przemyślnie kombinując wszystkie "pro" i "contra". Napięcie we mnie nie przełamało się raptownie, lecz zwalniane potrochu, łagodnie, jakgdyby wsiąkało w powietrze Myślałam sobie : - Widocznie teraz nie trzeba... źle wybrałam moment !

Rezygnując jedynie chwilowo, czułam się jak uczeń na wakacjach, niewypytany przy egzaminie z tego przedmiotu, do którego najlepiej się przygotował. Uczucie dotkliwego zawodu, splecione dziwnie z westchnieniem ulgi...

--- Poczawszy od 1929 r. dochodziły mnie pogłoski o nowej poważnej miłości w życiu Komendanta - dr. Eugenji Lewickiej. Charakterystyczne, że te rewelacje szły tym razem nie z endeckiej kuźni plotek, ale właśnie przez naszych ludzi - szeptane pocichutku, z respektem, ale i pewnem przerażeniem. Byli tacy, co widzieli na własne oczy, jak Komendant zanosił jej kwiaty do szpitala, podczas choroby - i jak ją przyjmował w Belwederze i w "Giszu". Wreszcie poczęto poszeptywać, że On nocuje od pewnego czasu wyłącznie w "Giszu" i rzadko nawet jada razem z rodziną.

Będąc u Oli - zdaje się że w lutym 1930 r. - zauważyłam sama jej przygnębienie i zdenerwowanie ; wreszcie zaszło coś, co nami, najbliższymi, wstrząsnęło. Ola zaprosiła mnie sama na pewien dzień - i oto nagle, w tym dniu właśnie, wyjeżdża nagle do Sulejówka, zabierając dzieci, które uczęszczają przecie w warszawie do szkoły (był to dzień powszedni). Kazik opowiada mi, bardzo przejęty, że stało się to całkiem niespodzianie - wreszcie powierza tajemnicę, usłyszaną od Adelfi (kucharki przywiązanej i zacnej, która służyła u nich jeszcze przed 1926 r.) : Poprzedniego wieczora panstwo długo rozmawiali, niezwykle głośno, za zamkniętymi drzwiami, jakby się spierali - potem pani płakała, wyglądała całkiem zmieniona... i zaraz zarządziła co trzeba, do wyjazdu na kilka dni. Kazik ubłagał Adelę, że przyrzekła nie powtarzać tego już nikomu więcej. Ola, wzywana przezemnie nie chciała nawet podejść do telefonu w Sulejówku, przepraszając tylko przez ad- jutanta - co nam dawało miarę jej stanu nerwowego.

W lipcu 1931 r. doniosła prasa o nagłej śmierci dr. Lewickiej.

Z biegiem czasu, omawiając tę sprawę z różnymi poważnymi ludźmi, ustaliłam sobie poglądy, że było to albo podstępne otrucie, albo samobójstwo, ale moralnie wymuszone - przez kogo?! Wymieniano nazwisko obojga Prystorów, jako sprawców - o ile słusznie, o tem nie mam pojęcia, orjentując się tylko, że Ola znienawidziła ich fanatycznie od owej pory mniejwięcej... Może działali nibyto w jej interesie, co odepchnęło ostatecznie Męża także i od niej? (pogląd Fanki Krasowskiej).

Straszliwość tego ciosu dla Komendanta uczuliśmy od pierwszej chwili, my, prawdziwi "Jego ludzie" - nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, jak decydującym mogło to być przełomem ("ostatnią kroplą") w Jego stosunku do narodu, do ludzkości całej może - - i tak już zachwianym... Złość ludzka, skojarzona z bezdenną zaiste głupotą, zabrała Mu coś bezgranicznie cennego: niewiadomo, czy ukochaną kobietę, czy przyjaciela, lepszego, głębszego, od wszystkich pozostałych? - w każdym razie ostatni promień jakiś w burzliwym, wysilonem, nad miarę obciążonem życiu - - jasny promień o zmierzchu, u progu nocy!....

Od tej pory nie wypowiedział już Piłsudski do Polaków ani jednego słowa - od tej pory otoczył Go jakiś mur, niewidzialny, lecz nieprzebyty. Zdaje się, że to następnej zimy, w 1932 r. spotkałam się z Nim w Belwederze, przy kolacji. Przywitał się i rozmawiał, bardzo mało zresztą, w taki zupełnie sposób, jakgdyby mnie widział pierwszy raz w życiu. Uderzona tem, zapytałam później Olę, czy On może gniewa się na mnie?! Roześmiała się bardzo głośno:

- Ach, o toż to! o to samo właśnie pytają mnie teraz wszyscy dawni nasi znajomi! Muszę wciąż zaręczać, że Ziuk nie gniewa się na nikogo, tylko...nie czuje teraz ochoty do rozmawiania z ludźmi.

Nie pamiętam kto to, w tym samym okresie czasu, przekazał mi Jego własny wykrzyknik na ten temat, w którym tętni zniecierpliwienie i głucha niechęć:

- Wybście chcieli, żebym Was całe życie za rękę prowadzał...żebym was może mył, czesał i karmił...żebym wam wreszcie kochanki wyszukiwał?!...!

A komuś innemu znowu rzekł wówczas, spokojnie i poważnie:

- Już wy nigdy/więcej dawnego Piłsudskiego nie zobaczycie! Schowałem go dobrze, zamknąłem głęboko....

A jednak i to wszystko nie odstraszyło mnie od postanowionej rozmowy.

Ważylaam w sobie przez chwilę pytanie, czy nie prosić o nią tam, przy stole..?
Ale nie : wyglądałoby wtedy, że się to dzieje za wiedzą, może z namowy Oli...
a takie podejrzenie mogłoby, w owym okresie, wszystko z góry popsuć.

Gdy raz, w szczupłym gronie bardzo zaufanych ludzi, napomykałam ogólnikowo, że ktoś powinienby wprost Komendanta poinformować o rozmaitych praktykach "Bloku Bezpartyjnego" - Belina powiedział mi, że on sam niedawno właśnie próbował tego, ale tylko rozgniewał tem Komendanta, który żadnych informacji sobie nie życzy. "Nie radzę wam tego robić !" - rzekł mi z naciskiem, jakgdyby odgadując mój zamysł.

Ale to nie wywarło wpływu na moją decyzję. Ufałam silnie w czynnik "metapsychiczny" na którym oprzeć się miała ta rozmowa - informacje rzeczowe mogły go jedynie poprzeć, może rozwinąć szerzej... Nie, wolałam usunąć je całkiem w cień, wydobyć wówczas dopiero, gdyby On sam zażądał, zapytał. Siła moja nie na nich polegała, ale na wycuciu czegoś, co tkwiło w Nim samym - miałam zaskoczyć Go i wstąpić tem, że ktoś inny jeszcze zna tajemnicę... Wyczuwałam mglisto, lecz potężnie, że to mogłoby - jeśli się uda - uratować jeszcze Jego stosunek do ludzi wogóle, otworzyć siłę drzwi, za którymi się zataraśował, przywrócić k o n t a k t z n a r o d e m . Między nami dwojgiem istniał przecie zawsze taki kontakt żywy, bezpośredni - taki co pozwalał porozumieć się w pół słowa, co zapala w oczach iskierki jakiejś satysfakcji intelektualnej, a serce poi poczuciem bliskości, niemal namacalnym... Ileż to razy chwytiał mnie odruchowo za rękę, z radości, że przyłapałam na gorąco i szczęśliwie dopowiedziałam własną Jego myśl ! A moja "misja" w sprawie Grażyńskiego, czyż nie powiodła się całkowicie ? Z największym wreszcie wzruszeniem wspominałam Jego spontaniczny, tak nieoczekiwany i zdumiewający odruch, gdy się dowiedział o mojej szczególnej czci dla Ostrej Bramy...

Tak, tak : istnieje pomiędzy nami jakaś nić mocna i czysta - jest na czym budować. Może się teraz zerwać na zawsze, to prawda - ale pociżby się snuła wogóle, gdyby jej nie było stać na taką próbę ostateczną ? Jeżeli grupka warszawskich teozofów mogła odegrać ważną rolę pomocniczą w "przełomie majowym" (jedynie przez kontakt osobisty, częsty w owym okresie) - to dlaczego teraz ja jedna nie mogłabym, w inny, ale jakoś pokrewny sposób oddziałać, dopomóc ?

Droga, którą sobie określiłam jako "metapsychiczną", była jeszcze niebezpieczniejsza od przyniesienia poprostu teki, pełnej dowodów - ale też dawała jedyną obecnie szansę wygranej. Byłam tego wewnętrznie pewna i coraz pewniejsza.

A zarazem - rzecz ciekawa - zaczęli zwracać się do mnie ludzie z tym samym planem zuchwałym, który ja samotnie, od wielu już miesięcy, nosiłam w sobie. Uważali, że to właśnie ja powinnam "pomówić z Komendantem" ! Wobec niektórych wykręcałam się, wykazując niemożliwość zamierzenia - ale kilkorgu powierzyłam jednak moją tajemnicę (Janina Karasiówna, oboje Bolesławiczowie).

Czy mi to dodawało otuchy, że dobrzy ci towarzysze i rozumni ludzie brali rękę na serwo, pokładając w niej nawet wiele nadziei ? Właściwie nie potrzebowałam nawet tego, wiedząc swoje zbyt dobrze. Szło tylko o to : którądy ?

Je wolno mi było ryzykować jakiejś drogi niepoważnej, wstawiennictwa byle czyjego, które mogłoby sprawę niejako skompromitować... Rozważając po stokroć tę kluczową sprawę, trafiłam wreszcie na osobę Janusza Gósińskiego, mego pierwszego niegdyś męża, który obecnie, jako szef sztabu, widywał Marszałka najczęściej i był przezeń podobno bardzo lubiany. Poniosłam ofiarę osobistą nienajmniejszą, dając mu do zrozumienia, po raz pierwszy od naszego zerwania, że ten nowy kontakt może go zbliżyć do córki, której, od 5-go roku jej życia, wcale nie znał. Liczyłam jeszcze i na to, że Komendant, wiedząc o urazie mej do Janusza i jej powodach, aż nadto poważnych - będzie zafrapowany specjalnie, słysząc z jego ust właśnie, prośbę o widzenie dla mnie !

Prośba ta została zaniesiona, o ile pomnę, gdzieś ku końcowi 1933 r. - a odpowiedź miała brzmieć :

- A, tak... Dobrze, dobrze i tylko nie teraz...

Przyznam się, że wysłuchawszy jej, mało już miałam nadziei. Przyczyniły się zresztą do tego dwa jeszcze moje widzenia z Nim - widzenia zupełnie już nieme. Niestety, dat ich ustalić nie potrafię w pamięci - poza tem, że było to pomiędzy 1932. a 1934 r.

Na t.zw. "herbatkę" w Belwederze - teren spotkań całej elity p polityczno-dyplomatycznej - szłam bez przekonania, aby Marszałek tam się pojawił. Lecz gdy Go ujrzałam - przyszła natychmiast decyzja, że, dopadłszy Go gdzieś w tym nieskrychanym złoku, jakby na odludziu, wypowiem usilną prośbę o widzenie... niechże się dzieje, co chce !! Przeciskałam się zatem, jak mogłam, aż do ma-

tego saloniku, gdzie stał On, otoczony półkolem strojnych panów, generalicji i posłów zagranicznych. Oto rozmawia z ambasadorem Laroche - ożywiony, wesoły, żartobliwy, jak niegdyś, gestykuluje, jakby opowiadając jakąś anegdotę. Po raz ostatni wpatruję się w ukochane oblicze, promieniejące humorem, w drganie ~~siwy~~ ogromnych siwych brwi podczas śmiechu - wpatruję się do bezpamięci, zapominając o wszystkim co dzieje się dokoła. Gdybyż raz rzucił okiem w moją stronę ... przystąpiłabym bez wahania, jak czyniłam tylekroć. Oczekując tej chwili, przybliżam się coraz bardziej - już tylko jakieś 5 kroków dzieli mnie od tamtej grupy... Wtem ~~przystępuje~~ ^{podsumuje się} jakaś antypatyczna figura we fraku i ~~odzywa się~~ ^{mówi do mnie} półgłosem, ale dobitnie :

- Niech pani będzie łaskawa cofnąć się trochę - tu nie można ^{le...} podchodzić już da-
Mierzając go oczyma, ważym jakiegoś słowa na ustach - ale odeszłam w milczeniu. Czy to było tylko przypadkiem, że Komendant nie spojrzał w moją stronę ani razu przez całe pół godziny ?.... że moje uporczywe wpatrywanie się nie oddziaływało na niego wcale ?

Następne widzenie było wprost straszne - może i ono przeznaczone mi zostało, dla ogarnięcia stopniowo pewnych rzeczy, zbyt trudnych do zrozumienia ?...

Rozmawiałam w Belwederze z Olą, gdy nagle wszedł Komendant, powolnym ciężkim krokiem - podał mi rękę obojętnie, prawie nie patrząc - przemówił do żony może dwoma zdaniem, zupełnie błahemi (jakieś zapytanie w rodzaju : "Gdzieś położyła tę książkę ? - Czy Wanda wróci na podwieczorek ?") - i oddalił się znowu. Miał twarz obcą, całkiem bez wyrazu - zachowanie takie, jakby mnie chyba nie poznawał...

Patrząc na to, rozpamiętując później tę scenę - wiedziałam już dobrze, że są rzeczy gorsze od śmierci i że nawet moja miłość - ta największa miłość całego życia - jest wobec nich (chwilowo może ?) bezsilna.

Teraz dopiero zaczynałam brać na serio opowiadanie pewnego oficera, w wielkiej tajemnicy powierzone Jadwidze Bartel de waydenthal, a przez nią Fance i ztąd mi znane (zachowałam je oczywiście wyłącznie dla siebie .)

Na przyjęciu jakiejś grupy wojskowych w Belwederze - może pół roku przed opisanym wyżej widzeniem - wpadł nagle Komendant w szalonym podnieceniu, wykrzykiwał gniewnie jakieś słowa bez związku, biorąc obecnych za ^{swych} przeciwników... zorientowali się po chwili, że był zupełnie nieprzytomny. Ola wyprowadziła go z tru-

trudem, wśród przeproszeń i tłumaczeń, usilnych a nieudolnych. Ogromnie poruszona i stroskana, robiła jednak wrażenie, że takie stany zna, że nie jest zaskoczona całkiem niespodziewanie...

Wiedząc już to wszystko, ale nie zdradzając się z tem, wypytywałam kilkakrotnie Janusza (w w 1933. i 34 r.) o stan zdrowia Komendanta. Bardzo żywo i z naciskiem zapewniał, że trzyma się naogół dobrze, że wciąż wiele pracuje i rozstrzyga sam najzawilsze sprawy, tak wojskowe, jak i stosunków naszych z zagranicą. Śledziłam jak detektyw, wyraz oczu, grę twarzy w trakcie tego opowiadania. Wszak do urzędu jego należała umiejętność kłamstwa - kłamał też zapewne, ale w jaki naturalny sposób! Wyrwało mu się tylko, gdy raz zapytałam, co się stać mogło z listem Anusza:

- Ach, z pewnością go doręczono, tylko Marszałek nie czytał....

On tak latami nie może się zdobyć na to, całe stosy ważnych papierów gromadzą się na biurku! Niewiadomo, co z tem robić...

- Słuchaj, Januszu - rzekłam, patrząc mu pilnie w oczy - tobie oczywiście nie wolno o tem mówić, nawet mnie... dobrze to rozumiem.., ale wiedz, że ja zdaję sobie sprawę: w tem wszystkim jest jakaś ponura tajemnica, której Polska dowie się dopiero w wiele lat po Jego śmierci. Tu tkwi jedyne wyjaśnienie tej niemożności dotarcia do Niego - tej naszej bezsilny absolutnej wobec całej ohydy, która się dzieje w Jego imieniu. On stał się nieobecny wśród nas - oto właściwe słowo!

Zapadło milczenie. Po zamkniętej kłamrą uśmiechu twarzy Szefa Sztabu przemknęło zdumienie - i szybko zgasło, jak błysk światła... oblokła ją teraz powaga nieprzenikniona. Starając się niepostrzeżenie patrzeć w inną stronę, nie odpowiadając mi wprost - skierował powoli rozmowę na inne tory.

Zupełnie podobnie zareagowała Ola, kiedy jej przerwałam w ten sam sposób ożywioną tyradę o dobrem samopoczuciu Męża. Zamilkła zdetonowana, przerażona widocznie, czy się z czemś nie zdradza mimowoli. Nie podtrzymywałam tego tematu, bo mi jej było serdecznie żal...

Trudno po ludzku wytłumaczyć, dlaczego pomimo to wszystko, wszystko - napisałam przecie i wysłałam list do Komendanta na dzień 19. marca 1934 r. Może poprostu

przez to, że nie byłam w stanie innych posyłać Mu życzeń, a od tylu lat przywykłam zwracać się doń w to święto doroczne?... Oto ów list :

Goszyce 15.III.1934 r.

K o m e n d a n c i e !

Na Zjeździe legionowym w Krakowie, w 1922 r. rozmawialiśmy, przy stole w Starym Teatrze, o piękności i sile "uczuć wojskowych". Mieści się w nich czasem coś większego jeszcze : związek Duchów Przewodnich Narodu z plejadą wiernych Duchów Pomocnych - ziemia nasza nie zna już nic wyższego ponad to .

W imię takiego właśnie związku decyduję się przemówić, choć pisemnie - skoro mi nie było dane, mimo tylu starań, dostąpić chwili rozmowy. Dążę do niej usilnie od 4 lat : najpierw przez Gertzównę (która nie odważyła się wogóle z tem podjąć się), następnie przez gen. Gąsiorowskiego, któremu Komendant na razie odmówił. Oła nie podjęłaby się z pewnością pośrednictwa, nastawiona zawsze na bronię Jego spokoju !

Ach, czyż to były słowa : "Jeżeli ci powiedzą, że głową muru nie przebijesz - nie wierz temu !" ?... A jednak nie zdołałam przebić tego muru, którym odgradziłeś się od nas, Komendancie. Może jest w tem jakaś moja wina - może za mało jeszcze ryzykowałam "głową" ?... Grzech ten okupuje chyba jednak straszne cierpienie tych lat : niemożność porozumienia, w rosnącej świadomości, że życie wewnętrzne Polski opanowują ludzie podli, albo głupi i gospodarują bezkarnie, powołując się na każdym kroku na najwyższy w kraju autorytet. Dziś jasne jest już chyba, o czem mówię. Cyniczny rabunek, dokonany świeżo na ubogich rzesznych pracowników państwowych, połączony z jawnym oszustwem - jest tylko najjaskrawszem ogniwem w łańcuchu, ciągnącym się konsekwentnie nie od dziś...

Systematycznie, nie przebierając w sposobach, usuwa się jednostki wartościowsze, aby dać pole działania karierowiczom, lub nawet złodziejom grosza publicznego. Tak wygryziono Anusza ze Związku Strzeleckiego, a obecnie Moraczewską ze Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet.

I to wszystko, to wszystko czy ni się W IMIĘ KOMENDANTA ! ! Im kto więcej chce zrobić interes osobisty, tem głośniej to imię wyrzaskuje, tem bezczelniej o krywa niem swe machinacje, odsadzając od "naszego obozu" tych, co osmielają się inaczej pojmować jego zadania. Czy ci ludzie trzymają się razem tylko lekkością

swych
 rąk, czy też tworzą zorganizowaną mafję - tego trudno dociec - ale
 wedle tego co się dzieje, można przypuszczać i to drugie. Byłam z tem u Sławka,
 kilkakrotnie : ze sposobu w jaki traktuje te sprawy jasne jest, że ten człowiek
 nie nie zrobi, mimo swej czystości i dobrej woli : zatracił wszelki kontakt z
 rzeczywistością, tamci wmówią mu wszystko, co zechcą. Wykręci się, poprostu, po
 dziecinemu, tak wobec mnie, jak i innych, którzy przychodzili doń po ratunek.

Bo jest nas więcej - zrozpaczonych obecnym stanem rzeczy i gotowych na
 wszystko, aby naprawdę i bezinteresownie stanąć przy Komendancie .

Po walce z najeźdźcami przyszła walka z przeciwnym obozem politycznym - dziś
 nareszcie jest kolej na porachunek z bezideowością, lub prostem łajdactwem wśród
 samych - żal się Boże ! - "piłsudczyków"....

Od tylu lat to widzę, coraz wyraźniej - to mi dawało prawo przyjść i powiedzieć
 całą prawdę, mimo tak doskonale uświadamianej dysproporcji pomiędzy nami. Wszak
 nawet mysz może czasem być potrzebna lwu !...

A Komendant był tak jakby nieobecny dla spraw wewnętrznych Polski - zato-
 pionym w pracy nad wojskiem i pokojem.

Proszę mi darować, że nie umiałam się docisnąć, mimo wszystko - - i teraz, bio-
 rąc na odwagę, taki list posyłam, zamiast życzeń.

Wierzę, że Komendant nas nie odtrąci !

Z:Z.K.

P.S. Napisałabym więcej i szczegółowiej, gdyby nie obawa, że list ten może, mimo
 wszystko, wpaść w czyjeś ręce...

- - - - -

Na kopercie (napisane było : Zofia Zawiszanka prosi - jedyny raz w życiu -
 wewnętrznej) Aby tylko SAM Komendant
 przeczytał ten list.

Była to najostatniejsza próba : może list trafi właśnie na jakąś jasną
 chwilę ? Gdybym w to wierzyła - to powinnam była gorączkowo wyczekiwać wezwania.
 telegramu - czy może aresztowania i odstawienia mnie do Belwederu ?.. Ale nie :
 umarł już we mnie ten radosny niepokój, to drganie napiętej silnie struny....
 Rozpostarł się tylko wielki spokój wyczerpanych do cna możliwości - teraz wie-
 działam napewno, że nie pominięła nawet cienia żadnej z nich, że nie zaniedbałam
 absolutnie niczego.

Gdyby nasz dawny Komendant był jeszcze pomiędzy nami,

to na t a k i list musiałby zareagować. I milczenie Jego głuche stańczyło mi za dewód tego, co głośiły wszystkie fakta lat ostatnich, tego co waliło się bezlitośnie coraz większym ciężarem na struchlałe serce : Jego n i e o b e c n o ś c i - ~~zamkniętą~~ tajemniczej, oczywistej a nieprzezwyjąłonej.

Z końcem 1934 r. dowiedziałam się od Oli - w rozmowie sam na sam - że list ów osobiście wręczyła Komensintowi (posłany był prywatnie na jej ręce).

- Czy go przeczytał ? - Tak, w mojej obecności.

Uśmiechała się jakoś dziwnie.

- A czy tobie go pokazał ? czy znasz jego treść ?

- Na to pytanie nie mogę ci odpowiedzieć.

ch, więc tak i.. nie czytała go z pewnością (Teraz, poznawszy lepiej Ołę, nie byłabym taka pewna tego... (przyp. 1939 r.) a najprawdopodobniej nie czytał nikt : w tych okolicznościach, jakie mam podstawy przypuszczać, jedynym honorowem wyjściem było - spalić list nieotwierany.

Nie wiem, czy potrafię wyrazić jasno mój pogląd na tę tajemniczą tragedję, którą zamykał Belweder w latach 1931 - 35. Lekarze będą to zapewne ujmować jako okresowe jakieś zaburzenia nerwowe, czy umysłowe - socjolog albo psycholog powie, że genjusz się wyczerpał, pozostawiając tylko zdolność pracy, może nawet bardzo wartościowej, na pewnych odcinkach węższych.

Jedno i drugie może być zupełnie prawdziwe. Wyobrażam sobie, że ten Piłsudski z lat ostatnich mógł być dobrym ministrem wojny, może spraw zagranicznych - - k t ó ż w i e z r e s z t ą , k t o w r z e c z y w i s t o ś c i k i e r o w a ł t y m i r e s o r t a m i ? - ale już nie w o d z e m n a r o d u - wątpliwe także, czy wodzem w razie wojny.

Jednakże to uwiędky ~~nietylko~~ nietylko same zdolności Jego, lecz przede - wszystkim niematerjalne nici wiążące Go g ł ę b o k o z bytem Polski, z nurtem jej przemian w czasie. Uwiędka w Nim - nie, raczej została złamana - ta nadludzka siła moralna, która stanowi zawsze istotę prawdziwego przewodztwa.

Ja, com Go znała tak dobrze, rozmawiała tyle w rozmaitych okolicznościach - świadczę się Bogiem : ta jakaś brutalność i pogarda wobec ludzi, która była z Jego odezwań końcowych, mogła być tylko zjawiskiem chorobliwym, bo jej nie było, jako żywo, nigdy przedtem ! (Przeciwnie, jakże potrafił być subtelny, jak

zależało na ludziach, zwłaszcza tych bliźkich) Zdając sobie naogół z tego sprawę - tak sobie wyobrażam - poza chwilami szczególnego ~~podrażnienia~~ -- nie chciałem się pokazywać w tym stanie ludziom, tym właśnie, co Go najwięcej kochał. Pocóż było ich przerażać widokiem zwalisk tragicznych ?... Rozumiał z pewnością (a może tylko czuł), że nawet one, poza tą nieprzenikliwą zasłoną, którą się o obudował, broniły jeszcze Polski - a pragnął bronić jej do końca, na każdy sposób jaki Mu pozostawał. Wiem, że musiał straszliwie cierpieć - jak, tego nie dowiemy się nigdy, bowiem przekracza to naszą miarę... Któż wie, ile to razy zmagał się, być może, z pokusą usunięcia się powtórnego, już na zawsze, do Sulejówka lub Pikiłiszek ? Nie mówiąc o uldze osobistej, wprost bezmiernej - zapewniłoby to i wzmogło glorię imienia, ale... coby się wówczas stało z Polską ? czy i ile wróg zewnętrzny lub wewnętrzny nie skorzystałby z takiego wstrząsu ?..

Niewiedomo, czy Józef Piłsudski wierzył w odgrzebanie kiedykolwiek przez potomność Jego istotnej prawdy, Jego nadludzkiej tragedji. Ale my, cośmy Go znali i kochali ponad życie - możemy i powinniśmy tę pracę potomności ułatwić.

M u s i a ł y istnieć niezmiernie ważne powody, przeważające wszystko inne, które sprawiły że On utwierdzał jednak swem nazwiskiem kilka z rzędu "gabinetów" nielepszych chyba od przed-majowych i niewięcej wcale związanych ze społeczeństwem - że tolerował takie nawet pociągnięcia, jak osławiona podwyżka płac wyższych kategorii, równocześnie z dalszem krzywdzącym obniżeniem poborów najniższych. A przecie trudno sobie wyobrazić coś bardziej diametralnie przeciwnego charakterowi i założeniom ideowym całego życia Komendanta !!

Niema innego sensownego wytłómaczenia, tylko !, albo ciężka choroba czy to woli (nerwów) czy umysłu -- albo jakieś tajemnicze polityczne komplikacje, które historia kiedyś wyjaśni - bo my nie potrafiliśmy (raczej jednak to pierwsze)

Innej alternatywy nie widzę - gdyż prędzej mogłabym przypuścić obrót ziemi dokoła księżyca, niż to, że Józef Piłsudski zrobił się na starość z wielkiego i szlachetnego męża stanu - bezdusznym i bezwzględnym macherem politycznym, nieprzebierającym w środkach działania, lekceważącym dolę ludzką i wolę obywateli.

Zmienił się, to prawda - ale w inny zupełnie sposób.

Przyczyny są dla mnie prawie jasne : za wiele Go nienawidzono, a kochano nie-

mniej wprawdzie, lecz zbyt biernie i ślepo - zamało miał w życiu prawdziwej p o m o c y duchowej, prawdziwego współdziałania. Aż wreszcie, po długich zmaganiach, wyczerpała się zdolność przebaczenia i cierpliwego prowadzenia za rękę... s a m o t n o ś ć poczęła dławić za gardło, jak dziki zwierzę. W pewnym sensie prawdą też jest określenie jednej z bliskich mi osób: "On został żywcem zagryziony przez wszy.." t.j. przez marnotę moralną rodaków. Brakło Mu już siły, by się dokopać ukrytych źródeł nowego bohaterstwa w Polsce, nowej czystości i świeżości ideowej. I nic w tym dziwnego: ostatecznie każda siła musi mieć swój kres! Z wyjątkiem siły, opartej konsekwentnie na Bogu, z wyjątkiem ~~ś~~ w i ę t o ś c i ale po świętość Piłsudski nie sięgał i to właśnie zgubiło go. W niej jednej byłby znalazł odtrutkę na wszelkie gorycze, któremi Go karmiono - w niej "wodę żywą" wśród spiekoty największej!

Nie pokonali Go ani trzej zaborcy, ani przeciwnicy polityczni - lecz właśnie "Jego ludzie". Widząc, jak kumulują sobie bez skrępowań potrojne (i więcej) ~~mnij~~ pobory, wśród rosnącej w kraju nędzy - albo jak maszerują nieświadomie po błocie, zapatrzeni we własne tylko iluzje, bez najmniejszego poczucia "de la réalité dea choses" -- nie umiał zdobyć się na nic innego, jak ślepy gniew, lub tępa bezradność. Terroryzował ich, lub wyszydzał, naprzemian - wreszcie machał ręką: "A róbcie sobie, co chcecie!!"

Może straszyla Go, po nocach i na jawie, bezcelowość walk bratobójczych 1926r. -- pytanie, urastające do rozmiarów ciężkiego urazu psychicznego: "Dla k o g o ? z k i m ? .. więc właściwie: p o c o ?!"

To chyba dosyć, aby złamać duszę ludzką, choćby największą.

Zapewne wchodziły tu także w grę: wynaturzenie ideału w realizacji, trudność wytworzenia nowego, opór całkiem innych zagadnień epoki nadchodzącej. Jeżeli każdy z nas doświadczył łamiącej potęgi tych konfliktów i zmaganiań - to czemu one być musiały dla Tego, co ześrodkował w sobie całą odpowiedzialność!! Na raptownym zakręcie historii siła pędu zmiądzły może przede wszystkim tego, co kroczy na przedzie. Może Józef Piłsudski był ofiarą tych właśnie elementarnych mocy, któremi kierował tak genialnie, aż wyniosły go wysoko na swych falach wzburzonych? Ujarmiane zbyt długo, zbyt twardo -

zemściły się wkońcu straszliwie.

Jeszcze jedno przychodziło mi czasem na myśl. Komendant wspominał mi raz o swojej szczególnej metodzie pracy "za pomocą podświadomości".

- Ostrzegał mnie kiedyś ktoś z okultystów, że to metoda niebezpieczna, że może prowadzić nawet do obłądu ... ale ja się z tego śmieję !
Pamiętam dobrze dreszczyk trwogi, który mnie przeszył przy tych słowach, już wówczas... Kto wie, czy każdy genjusz nie trzyma na uwięzi, przez samą koncentrację swych sił niezwykłych, jakiegoś stada demonów ? A skoro tylko siła słabnie - demony rzucają się na ofiarę !... Tłumy tylko oklaskiwać i pisać coraz więcej - a w braku powodzeń dość świetnych - skazywać i obalać. I znów : jedynie świętością obezwładnić można wszelkie demony, raz na zawsze.

Riksuński był jedynie człowiekiem czynu - ale tak wielkiego, że, Jemu samemu nie dawszy szczęścia ni spokoju - nam dał smartwychwstanie, ocalenie i moc. Za życia nakarmiwszy Jego namięte serce trującą goryczą, nieśmiertelna Polska odnajdzie je przecie - wiem o tem - wyrozumie i utuli...

Długimi latami, wśród bolesnych oczekiwań i zawodów coraz głębszych - w szamotaniu się obłądnem i tęsknocie okrutnej - zegnałam się z tą najwyższą, przeogromną miłością mego życia. Gdyby na mnie nagle spadła świadomość takiego końca - tam w Lublinie w 1924 r., albo tuż po majowym zwycięstwie - nie sądzę abym była potrafiła to przeżyć. A kiedy wreszcie zrozumiałam stan rzeczy - począwszy od 1933 r+ zaczęłam pragnąć prawie, aby On umarł - bo to, co odgadywałam, uważałam za gorsze o wiele... Chwilami żałowałam nawet, że nie stało się to o kilka lat wcześniej, w pełni sił i chwały.

- - - - -

A jednak - - noc z 12 / 13 maja i dni następne - były i dla mnie silnym wstrząsem. Z rzewnem współczuciem patrząc na boleść tych, co byli zupełnie na cioci ten nieprzygotowani, myślałam ze smutną ulgą : -Ja już mam 3/4 tej drogi krzyżowej... poza sobą !

Dla nas, cośmy dostrzegali tamtą długą, tragiczną nieobecność i cierpieli nad nią niewysłowienie - śmierć była powrotem, uwolnieniem najukochańszego ducha z pęt znużenia i wszelkich ziemskich ograniczeń. Teraz można

było do Niego mówić, z nadzieją jakiegoś wysłuchania - mieć Go w pobliżu, jak w
wszystkich drogich zmarłych... i więcej jeszcze : On nie mógł opuść Polski,
nigdy jej nie opuści.. - a że Mu przedkładała zużyta forma cielesna, więc
ją zrzucił .

Patrzyłam na nią po raz ostatni, w żałobnym salonie Belwederu,
rankiem 14. maja. Na wzniesieniu, pod zwisającymi sztandarami walk powstań-
czych i legionowych, wysoko ponad zaciętymi w oskupieniu profilami wartowników
- odnalazłam tę samą twarz, co pochylała się ku mnie w biesiadnej sali na pa-
miętnym zjeździe 1922 r. - i później w Sulejówku tylekroć - tę samą co przyję-
ła mój hołd na ganku goszyckim, po odsłonięciu tablicy : oblicze-posąg, obli-
cze-symbol. Chłonąc je oczyma, jakby już poza czasem, nie czułam nawet żalu,
i potrzeby polecenia Bogu duszy odchodzącej... Niewiadomo jak i skąd, modli-
łam się wówczas słowami radosnego hymnu "Veni Creator" - czując mocno, że te-
go tu właśnie potrzeba, że są to jedyne słowa chwili tej godne i zespolone z
nią ściśle.

- Przybądź, Duchu-Twórco, serca wiernych nawiedź -
Laską Bożą napełnij piersi, któreś stworzył...
Ty siedmioraki w darach, prawicy Bożej wskaziciel,
Tyś obietnicą Ojca, mową wzbogacający usta - -
Zapal światłość zmysłom, wlej miłość w serca...!

Jakiś oficer obok mnie, na klęczkach, rozdierająco szlochał. To co ja czułam,
nie było samą tylko boleścią, choć spostrzegłam po chwili dopiero, że mam całą
twarz zalaną łzami... Kiedyś znacznie później, ze wspomnieniem tego momentu
połączyły mi się jeszcze słowa naszego "Credo" :

" Expecto resurrectionem mortuorum et vitam venturi saeculi..."

Nie odżaluję nigdy, że nie uczestniczyłam w exportacji do katedry św. Jana i
w rewji mokotowskiej !... Kiedy lawetę z trumną wtaczano na platformę wagonu -
kiedy pociąg ruszał - spadły na cały kraj takie ciemności, jakich za dnia nikt
ze współczesnych nie pamiętał - a była to godzina trzecia i pół po południu ,
(na wiosnę) ! W Krakowie, w ciągu kwadransa mniej więcej, można było rozbijać się
słabo dostrzegalne w mroku
o sprzęty, o ile się elektryczność nie świeciła ! (sama to widziałam i nie mog-
łam pojąć) To też wszystkie prawie okna były przez ten czas oświetlone, tram-
waje również. Obserwując wtedy zachmurzenie takie, jak się latem dość często
widuje, oczekiwaliśmy jakiejś niesłychanej burzy... ale spadł tylko deszcz,
średnio ulewny. Nasuwała się myśl o jakimś zaćmieniu słońca, nieogłoszonym mo-

że naprzód, wobec zaprząpienia społeczeństwa jedynym żalobnym tematem... Ale nie : w prasie pojawiło się tylko śmiesznie nieudolne wyjaśnienie dziwnego zjawiska... wielką ilością pyłu w powietrzu ! Należy zauważyć, że słynne za-
 ómienie w sierpniu 1914 r., o podobnej porze dnia, nie dawało ani w połowie
 tak gęstej ciemności .

Drugie wydarzenie, bardzo przypominające cud, ~~zaszło~~ na samym ~~koncu~~ tej tryum-
 falnej drogi od Warszawy do Krakowa, przez Radom-Kielce, oraz cały szereg
 miasteczek i wsi, których ludność zalegała ^{w oczekiwaniu}, oba brzegi toru kolejowego, a za
 nadejściem pociągu padała na kolana, modląc się z głośnym płaczem... Gdy na
 dworcu krakowskim zdjęto trumnę i brano ją właśnie na ramiona - - rozległ
 się niespodzianie huk tak głośny, że słyszeli go wszyscy, nawet na placu przed
 budynkiem. okazało się, że tępa ko podwozie tego właśnie wagonu i - jakgdyby
 ten martwy przedmiot oznajmiał stanowczo, że po takim zadaniu wypełnionem,
 nikogo już i nie wozić więcej nie chce... Nie będąc sama świadkiem (stałam
 znacznie dalej), słyszałam to jednak od tylu wiarygodnych osób, że nie mogę
 wątpić w prawdziwość faktu.

Udobicie Wawelu na chmurach, tegoż wieczora, około 10 - 11 g., widoczne z okolicy
 mostu dębnickiego dla wielotysięcznych tłumów - da się prędzej wytłómaczyć w
 sposób naturalny, jako efekt wyjątkowej iluminacji wzgórza, połączonej z mgłą
 w atmosferze i t.p. czynnikami. Jednak łatwo zrozumieć, że dla mas, poruszonych
 już i tak do głębi, widok ten musiał wydać się czemś nadprzyrodzonym.

Lecz dla mnie najdziwniejsze przecie były stany psychiczne ludzi rozmaitych
 typów i odcieni przekonań, w tym kilkudniowym okresie - zwłaszcza u dzieci, nie-
 raz zupełnie małych, lub chowanych w atmosferze nieusposabiającej zgoła do ta-
 kich przeżyć. Może to do nich głównie, jako do p r z y s z ł o ś c i naro-
 du, zwracał się tak potężnie wielki duch, rozkuty ze swych więzów ?... Nie rozu-
 miewając, reagowały jednak ze zdumiewającą intensywnością. Czteroletni niespeł-
 na chłopaczek, szczególnie żywego usposobienia, syn siostrzenicy mego męża (AM
 (Andrzejek Fuksiewicz) był przez ten cały czas jakby nieprzytomny z przeję-
 cia : godzinami potrafił słuchać komunikatów radiowych z eksportacji, pogrzebu
 i t.p. - cichy, poważny, jedynie o tych sprawach mówił wówczas , zaprzestawszy

zupełnie zwykłych swych zabaw.

Jako charakterystyczny dla tych czasów i nastrojów, załączam, ~~złączam~~ do tych "zeznań" moich kopię listu Stefanji Krasowkiej, urzędniczki N.S.Z. i działaczki obracającej się w kołach teozofów, oraz Unji Związków Obrońców Ojczyzny.

Może ktoś inny na moim miejscu, włożywszy tyle wewnętrznego wysiłku w zamiar nieurzeczywistniony ostatecznie - uważałby potem siły te za zmarnowane i żgorzko ich żałował. Ale ja nie żałuję niczego...co więcej, z żywą wdzięcznością wspominam te czasy, kiedy dane mi było zмагаć się duchem z możliwością tak wspaniałą - i wyczekiwać jej bez drżenia.

Niem, że ja sama urosłam przez to wewnętrznie - a zanadto ufam w sprawiedliwy ład świata, aby móc przypuścić nawet, że tyle miłości i oddania, tyle odwagi i gotowości na wszystko - nie przyniosło Komendantowi żadnej pomocy. W jakiejś formie m u s i a ł o to dojsć do Niegoż i w losach Jego rolę swą odegrać! Jakżebym więc śmiała cofnąć kiedykolwiek ten dar, przez żale niewczesne?!

Dziękuję Bogu za to, że On żył pomiędzy nami i że żyć będzie wiecznie, póki istnieje Polska.

x Wierząc mocno w "Obcowanie Świętych" i wszelkich duchów czystych w Sprawie Bożej - zaznałam go tu na ziemi dzięki Niemu przede wszystkim, najbliższemu Bóstwa człowiekowi, jakiego spotkałam. Ten związek przetrwał śmierć i towarzyszyć mi będzie do końca dni moich - zespolony na zawsze z moim umiłowaniem Ojczyzny i udziałem w Jej życiu niewyczerpanem.

A ludzi w ten sposób z Nim związanych jest więcej - dlatego właśnie uważam tę spowiedź moją za pewnego rodzaju historyczny dokument epoki. Kto wie? może nawet "Rozmowa której nie było" na tutejszym trójwymiarowym planie - najważniejsza z tych wielu, jakie z Nim toczyłam - nie w mojej tylko jednej rozgrywała się duszy?.....

Zofia Zamiszanka p. v. Jesiolowka str. Karmowa
zotmena od druzi wyucadowego i Bygody kapienia
majimida sis z fons karmowa i karmowa
aleksandra (ola) fer z tego szeregu od druzi wyucadowego
Byla ona z komitatu powiatu karmowskiego
winnicelb srazobymy.

W roku 1914 kiedy komendant wydzial t. zw.
sielomiej alla rzeszom z rozkazu woj. osydzij
w karmowej zatrudnili na wni fons fonsin
w gonycach w zamiszanki byla ona w tym
karmie strzelectwa) Trosz porywali
od niej 2 promarki i pojehali na wybrony
do karmowa.

Z tam po 20 lat d w roku 1924 odlytas
zjed sielomiej w gonycach w zamiszanki
w karmie w zjed w druzi komendant

Dziadki:
Charkowscy zjed z zamiszanki byla
jej wielorodnosc i wyszom 19 z tego
powodu karabin od wybrony
Na zjednie swa wielorodnosc z dwi
winnicelb srazobymy komendant
karmowa w tedy o 10 km. w fonyce w swym
srazobym Radniomiej. Najle dostaje telebiomiej
winnicelb od karmowej karmowskiego ze
zjed sielomiej z fonyce ze komendant
ze zjed sielomiej che srazobymy.
Winnicelb srazobymy fonyce w
komendant srazobymy fonyce w zamiszanki
i che w srazobymy fonyce w srazobymy
ze zjed sielomiej w gonycach w zamiszanki
Jest to w srazobymy fonyce alla karmowej
komendant srazobymy fonyce

smieł pomyśleć o Związku
to by było dobre a i tak
nie ma to nic złego to pew-
nie jest do Związku Związku

Floryda

17 Jan - 1968

Wielkie dzięki za 15 lat!

Londyn 24. lipca 1968

Kochany "Dziku" !

Daruj, ale po tym pobycie w Londynie i tylu czułościach koleżeńskich, jakich zaznałam - nie umiem zwracać się do Ciebie inaczej, jak po imieniu... Jesteś przecie prawie że z "Siódemki" /ósmi/ i z Goszyc właśnie wyruszałeś ! Przypominaliśmy to sobie wszystko z "Kmicicem" b. dokładnie - odnowiłam też starą przyjaźń z Alfem i Bronkiem Hełcz. Wogóle wiele tu przeżyłam chwil pięknych i naradzaliśmy się nad ważnymi sprawami. Chciałam napisać do Ciebie obszernie, ale mi czasu zabrakło : jutro odjeżdżam do Kraju.

Gdy otrzymam Twą odpowiedź, postaram się przesłać na Twoje ręce do Instytutu - jeśli złapię okazję - pewien maszynopis do otwarcia dopiero ...np. za 50 lat. Po-

dobno tam u Was jest większa
gwarancja by uszanowano także
zastrzeżenie - a będzie tam ma-
teriał ważny do biografii J. H.

Adres mój : Kraków 2 ul. Olszy-
ny 8. Oboje Was z P. Ireną ser-
decznie pozdrawiam i proszę o
wiadomości, co u Was słychać!

Sofia L. Flekówna



Mr.

Edward Kleszczyński

183 C o l u m b i a M.T.S.

B r o o k l y n 11201

NEW YORK N.Y.

U. S. A.



25

2 fechos

XLVI / 2

mé do
interofluón 26

Masbu

Taahhüt



Mr. Edward Kleszarynski

183 Columbia Sts.
Brooklyn 11201

New York N.Y.

M.S.A

R ÇANKAYA
No. 97

Amerika

27

BROOKLYN N. Y.
NOV 15 1968
REG. SEC. TOUR 3